GŁOS UCZNIOWSKI

PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ

BIAŁYSTOK 1924 R.

ROK III. PAŹDZIERNIK-LISTOPAD NR. 5.

Księgarnia Nauczycielska

sp. z ogr. odpow.

w BIAŁYMSTOKU,

ulica Kilińskiego 10. filja: Sienkiewicza 21.

Poleca w wielkim wyborze

Wydawnictwa gwiazdkowe.

Do bibliotek książki z dużym rabatem.

Kto niewierzy, niech sprawdzi,

że najtaniej i najlepiej kupować w firmie

„POLONJA"

L. Mioduszewskiego

naprzeciw Kościoła.

Bielizna ciepła, trykotaże, rękawiczki, czapki uczniowskie i berety, pantofle i kostjumy gimnastyczne etc.

Cena 60 gr.

Rok III. Białystok, Październik-Listopad 1924. Nr. 5.

Razem młodzi przyjaciele
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele
A. Mickiewicz

Głos Uczniowski

PISMO MŁODZIEŻY

Redakcja i administracja czynna w soboty od g. 6—7 w.
Adres: Państwowe Gimnazjum Męskie im. kr. Zygmunta Augusta w Białymstoku, „Świetlica" Samopomocy Uczniowskiej

Treść № 5. — Od redakcji — Po pogrzebie Henryka Sienkiewicza Wu. — Powstanie listopadowe K. Komorowski — Jesień W. E. — Zima idzie... Z. O. — Chciałabym czasem H. Dryllówna — O zmierzchu. S. — Wieczorek. Monokl — Z przeżyć kolegi Bezwąsowicza. P. T. — Echa wieczorku. Błysk. — Polowanie na wiiki. W. Śmieciuszewski — Z teatru: „Bolszewicy" Sieroszewskiego (przedstawienie dla młodzieży) T. D. — Młoda Prasa. Rene. — Kronika — Odpowiedzi redakcji.

Od Redakcji.

Numer naszego pisma, który masz, czytelniku, w ręku, — pierwszy w tym roku szkolnym, ukazuje się niestety, jak i w roku ubiegłym, ze znacznem opóźnieniem.

Zaszła bowiem, wobec zdekompletowania starego zespołu redakcyjnego, potrzeba wprowadzenia zmian w składzie redakcji, co zabrało, z przyczyn zresztą od nas niezależnych, sporo drogiego czasu.

Tak upłynął miesiąc jeden i drugi, i dopiero w miesiącu trzecim, kiedy już sprawy reorganizacji zostały pomyślnie załatwione, możemy rozpocząć wydawnictwo „Głosu Uczniowskiego".

Pierwszy numer skromny jest, może nawet za skromny, lecz niech usprawiedliwi nas pośpiech, z jakim wydawaliśmy ten numer, chcąc, aby jak najprędzej ukazało się pismo, niecierpliwie, jak sądzimy, przez Was oczekiwane.

Nie wątpimy, iż po ukazaniu się pierwszego numeru licznie napływać będą do redakcji Wasze prace, a gdy niemi zapełnimy numery następne pisma, ujrzycie je takiem, jakiem go Sami mieć chcecie.

Redakcja.

Po pogrzebie Henryka Sienkiewicza.

Stoimy wobec faktu dokonanego. Dnia 27 października r. b. drogie każdemu z nas popioły duchowego wodza Polski, spoczęły w jej sercu, w Warszawie w podziemiach katedry św. Jana. Hen, z siemi Helwetów, z uroczego zakątka nad Lemanem, z Vevey, w triumfalnym pochodzie wróciły „na ojczyzny łono" śmiertelne szczątki tego, który rozsławił imię polskie na całym świecie. Warszawa, jako stolica Polski, godne zgotowała mu przyjęcie, całym szeregiem wspaniałych manifestacji, dała dowód, że sercem całem kocha i głęboko czci pamięć swego najlepszego syna. Pogrzeb H. Sienkiewicza stał się dla naszego młodego państwa zdarzeniem doniosłem. Przypomnieliśmy się całemu światu. Zwróciliśmy uwagę jego, że nie jesteśmy narodem bez wartości, a narodem żywotnym, narodem twórczej pracy, narodem, którego przedstawiciele duchowi potrafili zdobyć w całym świecie cywilizowanym poważanie, szacunek i najwyższe uznanie. Manifestacje w związku z pogrzebem Henryka Sienkiewicza jakiemi państwa Europy uczciły wielkiego Polaka, były również hołdem Polsce. Pogrzeb ten, przypomniał światu, że ta ziemia, leżąca gdzieś na krańcach cywilizacji europejskiej, stoi na poziomie prawdziwie europejskiej kultury, że wydaje ludzi, którym świat przyznaje najwyższe nagrody, nam zaś dał poznać szczerych przyjaciół. Wybuch szczerego uczucia ze strony pobratymców słowian wskazał, że nawiązują się i ustalają z nimi nici pokrewieństwa pod względem duchowem. W całej Europie zbudził się szacunek dla Polski, która wydaje nie tylko takich synów, jak ci co złożyli ofiarę na ołtarzu jej wolności, lecz takich także, którzy przyczynili sie do podniesienia kultury ogólnoludzkiej.

Fakty te są ważne dla naszej przyszłości, płynie z nich bowiem prosty wniosek dla nas. Musimy w dalszą ptacę włożyć tyle wytrwałości i dzielności, aby nietylko utrzymać znaczenie Polski, lecz właśnie je podnieść, tak, aby imię Polaka wogóle stało się powszechnie szanowane!

Duch wielki Sienkiewicza nam do tego dopomoże!

Wu.

Powstanie listopadowe.

Dzień 29 listopada wyrył się głęboko na kartach naszej historji. W dniu tym tak pamiętnym zegar dziejowy wydzwonił godzinę czynu. Społeczeństwo polskie, przejęte ideą zdobycia Polski niepodległej przez powstanie, — maltretowane przez wrogów — wybuchło gniewem.

Młodzież z Nabielakiem, Goszczynskim na czele, z hasłem: „Polacy! do broni!" opanowała Belweder. Przerażenie opanowało Moskali.

W. Książe Konstanty, otoczony wojskiem, ten książe, tak srogi i pochopny do wywierania zemsty, teraz, nie mogąc zdecydować się na żaden krok stanowczy, drżał o swoją skórę.

Tymczasem lud zbroił się, wojsko buntowało. Tworzyła się siła poważna, zdolna jednym śmiałym ruchem zmienić postać rzeczy, rozproszyć niepewność i nadać powstaniu barwę, charakter oraz rozpęd. Zawrzała Krew Chrobrych i Sobieskich, wspomnienia minionej potęgi i chwały wzywały naród do odzyskania Polski niepodległej, dawały mu moc tytanów. Lecz siła ta potrzebowała głowy, a tej nie było. Powstała pustka, która z natury rzeczy długo trwać nie mogła. Przyszedł więc moment do wystąpienia tego który, jeśli nie był głównym sprwcą, to był najpoważniejszą dzwignią moralną powstania. Był nim Joachim Lelewel. Ale oto w chwili krytycznej, gdy trzeba było czynem poprzeć wcielone w życie zasady, objawić cel ruchu, powołać władzę, Lelewel, przykuty do łoża umierającego ojca, nie mógł pokierować energicznie akcją, Przygnębiony tym ciosem, niezdolny był do pracy. Postępował jak automat, zdany na łaskę losu, bez zdania, silnej woli, nie zdobył się na żaden odruch samodzielności.

Powstaniec był bez władzy. Wytworzyła się pustka, tak, że mogło się zdawać, iż koło historji zatrzymało się w biegu. Gdy więc powstanie nie wyłaniało władzy ze siebie, a Wielki Książe na nic się nie ważył, znaleźli się ludzie, którzy postanowili zapełnić tę próżnię i zapanować nad położeniem. Byli to: ks. Lubecki i ks. Czartoryski. Tworzą oni Radę Administracyjną do której weszli: ks. Czartoryski, Pac, Niemcewicz, Chłopicki, ks. Michał Radziwiłł i Kasztelan Kochowski.

Lecz ironja losu chciała, że wymienieni właśnie ludzie rzucili rękawicę powstaniu i podali sobie dłonie, żeby je stłumić. Wydano odezwę, wzywającą do porządku i spokoju. Wywołała ona tylko nienawiść do tych, którzy byli jej autorami, bo przecież naród chciał walczyć z ciemiężcami Ojczyzny.

Powstał nowy dzień a z nim nowa niepewność dla całego kraju.

Wojsko głodne, wyczerpane, bezczynnie stało pod bronią, a lud hałasował i groził. Wszędzie radzono, aż w reszcie na widowni powstania ukazali się nowi ludzie: Szaniecki, Sołtyk, Ziemięcki, Wieszczycki i Leon Dembowski. Domagali się oni, żeby zwołano sejm i na nim załatwiono sprawę powstania. Rada przyjęła żądania tych wysłanników ludu, lecz znów wywołała całą falę nienawiści propozycją układów z carem Mikołajem I.

Odruch przybierał groźne rozmiary, co skłoniło Radę do usunięcia się.

Jednak i rewolucjoniści, widząc niemoc swego przewodnika, Lelewela, jego chwiejność, tracili zaufanie i patrzyli na niego oczyma zawiedzionej nadziei. Lelewel rozumiał, że tylko energiczna władza będąca grozą wszystkich, może na nową drogę pchnąć cały naród.

Lecz w praktyce jego wzniosła idea wskutek błędnego postępowania nie działała na tłumy i nie wzmacniała kadr powstańczych, natomiast coraz bardziej zaciskała obręcz sprzeczności i dwuznaczności.

A tymczasem wypadki postępowały nieprzerwanym ciągiem.

Jenerał Chłopicki, widząc nieudolność rządu, ogłosił się dyktatorem. Opanowawszy władzę, zaczął rządzić samowładnie.

W rękach swych skupił taką władzę, jakiej jeszcze kraj nie oddał nigdy Polakowi.

Rząd Tymczasowy nie miał żadnego znaczenia, oczy zaś całej Polski były utkwione w dyktatora, który zdobył zaufanie tłumu i w wyobrażeniu jego dawał rękojmę zwycięstwa. Tymczasem Chłopicki nie rozpoczynał walki, lecz myślał o układach. Unikał on wszystkiego, co mogłoby być dowodem, że Królestwo zamyśla o starciu zbrojnem z Rosją.

Hamował zapał, powściągał gorliwość swoją wszechwładną wolą. W ten sposób pierwsze dni powstania były zmarnowane. W stolicy panował ład i porządek, a jednocześnie wniwecz obracały się płomienie entuzjazmu i siła moralna, którą dzień 29 listopada rzucił na szalę dziejową: dyktator tłumił ją. Jednak i ten wszechwładny człowiek spostrzegł, że należy utworzyć sejm, wobec czego wyznaczył dzień jego otwarcia na 21 grudnia. Lecz arena wypadków domagała się, żeby nie zwlekać, więc to ociąganie się dyktatora wywołało oburzenie, tak, że obrażony Chłopicki zrzekł się swej godności i usunął się z widowni. Nadchodził tedy okres działalności sejmu. Odtąd ruchem narodowym miała kierować instytucja zbiorowa, niezdolna do szybkiej decyzji, chaotyczna, ciężka. Jednak i teraz towarzystwo „Braci Zjednoczonych", które miało na celu przyłączenie do powstania Rusi i Litwy, Towarzystwo Patrjotyczne z Lelewelem, domagały się szybkiej decyzji sejmu. Pod presją tych klubów sejm przekazał swą władzę wykonawczą Rządowi Narodowemu. Pięciu wybrańców z trzech różnych obozów dzierżyło władzę, którą tchnął w nich sejm. Żywioły o różnych kierunkach miały decydować o losie powstania. Wszyscy nowowybrani: Czartoryski, Barzykowski, Niemojewski, Morawski, Lelewel mieli najlepsze chęci, ale żaden nie był indywidualnością wybitną, żaden nie był w stanie stać się dźwignią powstania. Taki Rząd niewiele mógł dokonać. A tymczasem czas był najwyższy, żeby pomyśleć o wojnie, bo wojska rosyjskie wkroczyły w granice państwa, żeby poskromić zbuntowany kraj. Losy narodu przeniosły się z gabinetów ministerjalnych na

pole zapasów krwawych. Miecz miał pisać dzieje ojczyste. Garstka Polaków cofała się ciągle w głąb kraju przed lawiną moskiewską, która całym pędem dążyła ku sercu Polski, Warszawie. Bitwa pod Stoczkiem wzniecila radość w narodzie, lecz ta pomału ustępowała niepewności losu. Wódz naczelny wykazywał brak energji, to też miejsce ks. Radziwiłła, zajął dawny dyktator, Chłopicki, w którym odżył znowu duch polskiego żołnierza. Lecz niestety gwiazda zwycięstwa niedługo świeciła: Chłopicki, ranny w nierozstrzygniętej bitwie pod Grochowem ustępuje dowództwa Skrzyneckiemu, którego zimna krew i postawa wyniosły na to stanowisko. Nie sprostał on zadaniom wodza. Bitwa ostrołęcka przechyliła szalę zwycięstwa na stronę wrogów i przekreśliła wszelkie dążenia do uzyskania bytu niepodległego. Nie pomogły wysiłki generała Krukowieckiego: powstanie chyliło się ku upadkowi, aż ostateczny kres położyło mu zdobycie Warszawy przez Rosjan.

Rozprzęgło się wszystko. Gwiazda wytrwałości i uzyskania niepodległości znikła z horyzontu polskiego, czarna beznadziejność prowadziła resztki bojowników ku granicy pruskiej, rozpacz szarpała duszę, bezład ogarniał wszystkich. Ludzie, którzy odegrali ważniejszą rolę w powstaniu, którzy byli jego przodownikami, stawali w tej przedzgonnej chwili wobec ostrza sądów, najdzikszych pogróżek i potwarzy. Wróg triumfował. Synowie Polski pielgrzymowali po świecie, ucząc go, jaką wartość ma narodowość i prawdziwa godność polityczna. Najlepsi mężowie narodu — uwięzieni, wygnani, pomordowani tysiącami, a jednak okrutny gnębiciel nie był w stanie stłumić miłości Ojczyzny i pragnienia wolności. Krew powstańcza stała sie posiewem do walk o niepodległość w roku 1846.

Gdy rok 1848 przyniósł „wiosnę ludów", pełną najpiękniejszych idej, haseł wolności i braterstwa oraz czynów dzielnych wśród ludów, walczących o wolność i swe prawa, zabrakło niestety polskiego: potok rewolucji głucho odbił się o słupy graniczne Polski pod zaborem rosyjskim. Lecz to była chwilowa cisza. Bo to z krwi powstańczej 30-go roku, wzrósł rok 63 —

Czyn legjonów w 1914 r. — to również owoc walki listopadowej.

Dzisiaj więc w wolnej Ojczyźnie, święcąc dziewięćdziesiątą czwartą rocznicę Powstania listopadowego, oddajemy hołd ofierze naszych przodków, złożonej na ołtarzu wolności.

Teraz gdy minęła półtorawiekowa noc niewoli, gdy minął okres zmagań się w pomroce, a przyszłość wzywa do ciężkiej i twórczej pracy, — niech ustąpią niemoc ducha i chwiejność! Przyszłość od nas samych zależy. Pokażmy, że umiemy szanować i czcić wysiłek naszych przodków i że umiemy wysnuwać naukę z przeszłości.

K. Komorowski.

DZIAŁ LITERACKI.

Jesień.

Ostatnie letnie dni już pożegnały nas
I pierwszy wiatr jesienny chłodem owiał świat.
Przedziwnie smutną piosnką szumi cichy las,
A ziemi nagiej żaden nie upiększa kwiat.

Już liście więdną. Ptasząt umilkł chór.
Już nawet słonko kraj nasz opuściło...
I tylko coraz smutniej szumi stary bór
I niesie o tem pieśń, co mu się niegdyś śniło.

Ciągną się dni jesienne, jak długa szara nić.
Ziemia pożółkłym liściem nagość swą obleka.
Jesienny wiatr zaczyna coraz srożej wyć,
Przed całym światem na niedolę swą narzeka.

O szyby okien krople deszczu głucho uderzają.
Pędzone wiatrem zwiędłe liście lecą w dal
Na dłuższy czas ptaszęta kraj nasz opuszczają,
Za niemi liście zwiędłe z wiatrem pędzą w dal.

W. E.

Zima idzie...

Słodki cichy wiew
Pośród starych dzrzew...
Cudny sen się powiek chwyta:
Ziemia cała w biel spowita
I konary drzew!

Od tak jasnych szat
Pobladł ziemi brat
I zdziwiony stanął w biegu,
Gubiąc srebrne blaski w śniegu,
Księżyc, ziemi brat.

Cicho stąpa w dal,
Bo mu ziemi żal.

Cicho świeci aż do rana,
Wszak usnęła, spracowana —
Zbudzić mu ją żal.

Lecz poranek zły,
Upowity w mgły,
Tchem wilgotnym topi śniegi:
Popłynęły łez szeregi
Poprzez szare mgły...

Ziemia płaczę, hej!
Białej sukni swej...
Lecz niedługo przyjdzie siwy
Pocieszyciel, mróz sędziwy,
Łzy osuszy jej...
— — — — — — —
Zima idzie, hej!

Z. O.

Chciałabym czasem...

Chciałabym czasem zakwitnąć liliją
W zacisznym cieniu dąbrowy,
Wonią jej modlić się słodko do Boga
W promienny ranek majowy.

Albo swobodnym być orłem skrzydlatym
I wznieść się nad górskie szczyty,
Tam o zwycięskich śnić walkach nad ziemią
W przestworów płynąć błękity.

Chciałabym czasem zamienić się w gwiazdy,
Co jasno na niebie płoną,
I w niezgłębione spoglądać przepaście
Pod skał pogiętych koroną.

To znów błagalną wypłynąć modlitwą
Z oczu natchnionych kapłana,
Ponad gwiaździste wzbijając się smugi,
Do stóp nad Pany, paść Pana.

Chciałabym czasem być Stróżem — Aniołem,
Co z dzieckiem szepce pacierze,
Co je ochrania od kolców życiowych,
I od zepsucia ustrzeże.

Zwinną rusałką przepłynąć bezkresne
Bezdennych mórz i rzek tonie;
Albo być słońcem, co chodzi po niebie
W ognistych blasków koronie.

Chciałabym czasem zamienić się w głosy,
Co niosą spiżowe dzwony;
Z grobów, z cmentarzy, od ziemi — w niebiosy
W ciche rozlewać się tony...

Lub tam na wzgórku stać krzyżem brzozowym
Na bohatera mogile,
W noc księżycową z przeszłości bojowej
Wspominać razem z nim chwile.

Jeszcze bym chciała być pieśnią słowika,
Co leci w dal, jak skrzydlata,
Leci przez pola i wioski i miasta...
I miłość budzi dla świata.

H. Dryllówna.

O zmierzchu.

Miedzami, miedzami o cichym zmierzchu śród sennych idziesz pól. Kłania ci się zboże nisko, morze złote — kłania ci się nisko i szumi. Hej! Miedzami, miedzami — idziesz w świat.

Pachnie naokół ziemia, pachną polne drobne kwiaty. Rozpościera się dalą zmierzch siny, gaśnie zorza liljowa — na ziemię pada senny blask. Na ziemię schodzi cień, leciuchny pada mrok powoli — na miedze ciche, na nieobjętą przestrzeń pól. Daleko, daleko wokół kołysze się morze złote falą plennych zbóż.

Szumi naokoło zboże, poszepty idą dziwne od ziemi, od zbóż. Płyną zdaleka zewsząd poszepty a głosy. Mówią coś cicho kłosy, tajemnie tylko do ciebie mówią szmerem przedziwnym, serdecznym.

Bije ci serce równo, radośnie: Twoja to ziemia rodzona! het — het — bogata łanem zbóż!...

— — — — — — — — — — — — — —

Miedzami idziesz w świat — w sinawą zmierzchem dal. Kołysze się falą zboże, w przedziwny z myślami zlewa się rytm: Twoja to ziemia rodzona. Tak cię do siebie tym szmerem kłosów dojrzałych woła, tak ci tym szeptem pieści słuch. I tak ci pachnie ten jej drobny, na miedzy wzrosły kwiat. I znasz ten szum przedziwny i znasz ten szept...?

Ziemia do ciebie mówi, matka do ciebie mówi, słuchaj jej. Nie nauczą tak cię słowa żadne miłości do niej, jak cię nauczy

kłosów ciężki szum. Nie nauczy cię nic ją tak miłować, jak ten miodny zapach kwiatów, na miedzy rosnących.

Garną ci się do stóp dziewanny złote i ścielą drobne liljowe macierzanki i pachną hej! — jak pachną słodko kwiaty po miedzach rosnące.

Ogarnie cię od tych kwiatów i od tych traw i od tych zbóż idąca przecudna woń — ogarnie i ukołysze szum przedziwny a pieściwy. Ogarnie cię cicha błoga radość i serce napełni miłość wielka, kochanie serdeczne a rzewne — spokój ogromny. I niema w tobie myśli żadnej, niepokojem trwożnej. Niema żadnych trosk: jest tylko ogromna radość życia i jakaś dobroć wielka, jest ten szum, zapach nad tobą, w tobie, dokoła — rozlewa się, płynie zewsząd — ogarnia cię całkowicie niedający się w słowa ująć urok, czar przemożny.

Idziesz tak polami pośród zbóż w dal nieskończoną, w gasnącą jasność liljowych zórz, w daleki cień, idziesz z oczyma, pełnemi rosy łez, z kochaniem wielkiem. Nie umiesz tego kochania nazwać, wiesz tylko, że masz pełne serce rzewności przeogromnej a słodkiej aż do bólu.

Wezbrana uczuciem dusza zestraja ci się w jeden przesłodki ton, ton cichych słów modlitwy, która od ust twoich płynie w dal mimowolnym szeptem.

Modlisz się tym szeptem bezsłownym, płynącym z warg, zachwytem oniemiałych, do dalekich przestworów w cień spowitych, do rozległych pól w gasnących blaskach słońca. I wstaje w tobie w głębi jakiś płacz ogromny ze szczęścia. Roztapia się serce i dusza w szlochu wewnętrznym. I jest ci dobrze i boleśnie zarazem do ostatnich granic. — I oto czujesz, że ziemię twoją kochasz, że odzywa się w duszy twojej miłość do tej ziemi wrodzona i z uśpienia przebudzona widokiem tej ziemi w najpełniejszej dojrzałej krasie.

I kochasz ją każdem uderzeniem serca i kochać będziesz myślą każdą i czynem każdym. Bo jesteś tej ziemi cząstką najistotniejszą i nieodłączną.

Każde jej tętno w sobie czujesz — w duszy — wstrząsem najgłębszym. A miłości ona godna. Ale i nienasycona nigdy. I mówi ci ona rzeczy przedziwne a tajemne, tobie tylko mówi cichym szeptem przesłodkim. I wonią kwiatów, na miedzy rosnących, pieści cię i utula cię każdym najlżejszym szelestem — najcichszą, tobie tylko pojętą gędźbą. I już nie zapomnisz tych cudów przenigdy, przez życie całe i kochać matkę ziemię będziesz życie całe.

— — — — — — — — — — — — — —

Miedzami, miedzami o cichym zmierzchu, polami idziesz w świat, polami idziesz w dal. Na ziemię schodzi cień, na ziemię schodzi mrok, powoli, powoli na miedze ciche, na nieobjętą przestrzeń pól.

S.

Wieczorek.

— Więc idziesz?

— Może pójdę... a ty?!

— Ja napewno. Radzę ci również iść, bo podobno ma być wojskowa orkiestra!

— Takie rozmowy daje się słyszeć na korytarzu w przededniu wieczorku w NN.

Afisz głosi, że zabawa rozpocznie się punktualnie o godz. 5 ppoł. Zachowując tradycję, każdy szanujący się „pan" zapowiada zgóry, że się spóźni conajmniej o godzinę. Przecież nie wypada przyjść punktualnie, bo cóż pomyślą inni, a zresztą... „nie uchodzi!"

* * *

Około godziny szóstej zaczynają skrzypieć drzwi wejściowe, witając przybywające młode dusze. Skrzypią ciągle, jednakowo uprzejme dla wszystkich, aż wreszcie zmęczone milkną, przysłuchując się dźwiękom walca, płynącym z hucącej sali.

Orkiestra wojskowa dodała animuszu nawet najbardziej zdecydowanym przeciwnikom tańca i pozbawiła piece zwykłych podpórek.

Tańczono zawzięcie, bo pierwszy raz w tym roku szkolnym. Tu jakaś para z namaszczeniem wykonywa modne pas, tam tancerz obraca swą damę w jednym kierunku, aż napotkawszy opór w postaci ściany, przeprasza ją (damę, nie ścianę) i zawraca pod kątem prostym, kierując się bardziej ku środkowi, nie chcąc być narażonym na przykre starcia ze ścianą.

Przybywa coraz to więcej par. Zaczyna być ciasno i gorąco.

Tu i ówdzie odzywają się błagalne głosy:

— Kolego, proszę ostrożnie! — lub — Ach panie, moje lakierki! —

Pierwszy walczyk mija bez dyrygenta. Nikt jakoś nie czuje w sobie iskry bożej. Dopiero, gdy polka wprowadziła zupełny zamęt na sali, wyłania się z tego zamętu samozwańczy wódz i pro publico bono stara się przekrzyczeć grzmiącą orkiestrę.

Przerwa. Sala pustoszeje. — Długim sznurem wyciągają się pary w korytarzu. Wśród gwaru i śmiechu odbywa się rewja sił tanecznych. Strona żeńska jest w liczbie przeważającej, to też strona męska bardzo się z tego cieszy i obiecuje sobie doskonałą zabawę. Jak przystało jednak na prawdziwych gentelmen'ów, nie okazuje tego nazewnątrz, zachowując to błogie uczucie w sercu.

Słodki bufet, wyrażający piękną i zdawałoby się zrozumiałą dla wszystkich ideę, staje się powodem „wpadnięcia" pewnego adepta sztuki tanecznej. Przyszedł sobie ten „gość" do bufetu i bez najmniejszych wyrzutów sumienia z czarującym uśmiechem proponuje swej damie ciastka. Dama, zachwycona

tak uprzejmym fatygantem, trochę się wzbrania (oczywiście nikt nie bierze tego na serjo), ale ostatecznie zgadza się. Uprzejmy kawaler jest w różowym humorze i bawi swą damę opowiadaniem o tem, jak to jego dziadek kiedyś tańczył, będąc w szóstej gimnazjalnej. Za jego czasów na sali tańczyło sto... dwieście... trzysta par. Gdy kto chciał tańczyć oberka — tańczył oberka, gdy chciał mazura — tańczył mazura. Ale jak tańczył!?! Za każdą parą szła muzyka i przygrywała (autentyczne).

A gdy się szło na kolację, to dawano po sześć... dziesięć... piętnaście dań i nikt się temu nie dziwił, wszyscy uważali to za objaw zupełnie normalny. Ale jaka wówczas była młodzież!? Barczysta, wysoka, jak te drzwi... Tu przerwał, ale róg... serwety trzymał mocno, bo przypadkowo spostrzegł, że jeden z kolegów płaci za ciastka. Włosy, obficie napomadowane, chciały stanąć dęba, ale nie zdołały. Co tu robić? W kieszeni zaledwie 20 groszy, a dama ma dobry apetyt, bo już zjadła cztery ciastka i zaciekawiona tak niebywałemi przygodami onego dziadka, pyta, i cóż dalej? Położenie stało się groźnem. Blednąc i rumieniąc się naprzemiany, szuka nasz bohater wyjścia z opresji. Lecz napróżno. Żaden wykręt, żaden sposób nie przychodzi mu do głowy.

Cierpienia moralne grzecznego kawalera jeszcze bardziej się zwiększyły, gdy na sali zagrano mazura. Być na wieczorku i nie tańczyć mazura, to jest to samo, co być w Rzymie i nie widzieć papieża. Ale znów, gdyby chciał wyjść, musiałby płacić. Na szczęście dama mazura nie lubiła i wolała odpocząć w cieniu palm w bufecie.

Ale teraz, o zgrozo! zechciało się jej jabłek. Poleciwszy się więc bogom podziemnym, częstuje nasz „gość" damę jabłkami, zdecydowany cierpieć mężnie do końca, spodziewając się, że w chwili decydującej przyjdzie mu coś do głowy? W bufecie, jak na złość pustki. Wszystko, co żyje, pośpieszyło na salę.

Tu mazur panował wszechwładnie. Ruch, stuk i zawierucha. Tańczy kilka par rzeczywistych i kilkanaście pozornych. W tych parach pozornych pani jest „panią" i pani jest „panem".

Ze zdumieniem widzą nasi prima-mazurzyści, że i koleżanki umieją wybijać hołubce nie gorzej od nich. Kilka par korzy się przed majestatem mazura i pada, dając świadectwo swemu uwielbieniu jak również i zgrabności. — Para za parą! — Czwórkami! — Ósemkami! — Pierwsza ósemka mazur! (należy dorozumieć się, że reszta par winna udać się pod piec i oczekiwać tam dnia sądnego). Szczęśliwa ósemka staje po rogach, robi kółeczka, krzyżyki, rzetelnie ubija posadzkę, nastając na całość sufitu na parterze, gdy w tem muzyka milknie. Równocześnie pryska czar i skacząca ósemka zatrzymana w swym pędzie staje zdyszana i zmęczona (zupełnie jak w bajce o zaczarowanej fujarce). —

Niezmordowana orkiestra gra już walczyka. Pary wirują potrącając się i przepraszając wzajemnie. Lecz cóż to? Nasz znajomy, „gość" z bufetu tańczy? Tańczy wesoły i uśmiechnięty, bawiąc swą damę (zapewne dalszym ciągiem opowiadania o swym dziadku). Fama głosi, że podobno jeden ze spragnionych mazurzystów poratował go w potrzebie i zyskał tem sobie dozgonnego przyjaciela. Tymczasem clou wieczoru, orkiestra, zbiera się do odejścia.

Słychać tragiczne głosy: — A więc już? — Ale nie, to jeszcze nie koniec, wszak jeszcze dość wcześnie. Vox populi wzywa osoby, grające na fortepjanie, do dzieła. Płyną ciche, może aż nazbyt po orkiestrze ciche i dyskretne tony. Humory jednak nie psują się. Pod grozą nadchodzącego końca tańczono prawie bez przerwy, aż gdzieś w oddali dał się słyszeć czysty dźwięk dzwonka.

— — — — — — — — — — — — — — —

Drzwi wejściowe zaczynają znów skrzypieć. Falą płynie z nich rozbawione towarzystwo, płosząc nocne cienie. Ostatnie żarty, kaskady śmiechu, pożegnania, wreszcie ulica, zbudzona ze snu, powoli się uspokaja i znów zapada w drzemkę, zagniewana, zda się, na spóźnione gwary.

Monokl.

Białystok, dnia 10.XI.1924 roku.

Z przeżyć kolegi Bezwąsowicza.

Słotna poraz dni zadusznych przywiodła do mnie paru kolegów. Z braku lepszego zajęcia kolega Bezwąsowicz, słynny gaduła, ofiarował się nam opowiedzieć dzieje swej pierwszej miłości.

Szczegóły tego opowiadania były mi już oddawna znane, gdyż należałem do grona tych, którzy wprowadzili kol. Bezwąsowicza w „świat wszechwładnego Amora". Kolega Bezwąsowicz trochę przyniski, zresztą bardzo zdolny jegomość o przyjemnym wyrazie twarzy i z czupryną w poetycznym nieładzie, odkaszlnąwszy, jako mąż solidny na swe 16 lat, w te ozwał się słowa:

— Niespełna rok temu byłem jeszcze „smarkaczem".

Uprawiałem zawzięcie sport i to we wszystkich jego gałęziach — w zimowe wieczory uczęszczałem zawzięcie na ślizgawkę „Białego Orła" cieszącą się wielką frekwencją kolegów i jeszcze większą koleżanek (płeć dotychczas mi nieznana, a jako przez wielkiego sportowca pogardzana).

„W pewien cichy, acz mroźny wieczór (a było to w piątek i w dodatku 13-go, dzień i liczba feralna w mem życiu) koledzy postanowili przedstawić mnie jednej z gwiazd przesłynnej „Paczki pięknych". Na tę wieść włos, i tak nigdy nieleżący, stanął mi dęba. Wydając ryk rannego bawołu, chciałem w ucieczce szukać ratunku. Niestety było już zapóźno. Ujęty w żelazne ręce tych gwałcicieli mego spokoju duchowego, zostałem postawiony przed jej oblicze.

Struchlały ledwo odważyłem się podnieść oczy i ujrzałem „Ją". Wysmukła o płomiennych oczach, o przecudnych kruczych kędziorach, ujętych w pukle, o trochę niekształtnym nosie, lecz o przecudnych koralowych ustach i o dziwnie matowej cerze, głosem do chóru Cherubinów podobnym wyrzekła: „Miło mi poznać kolegę". A u mnie na te tak czułe powitanie pędem błyskawicy przebiegła myśl, czy zna się też ona na sporcie. Odbąknąwszy słów parę, prawie zmuszony przez kolegów, ujałem jej rękę i zaczęliśmy opisywać koła po lodzie. I oto jeździliśmy już z pół godziny, a milczenie uroczyste panowało między nami.

Wtem spostrzegłem, że wzrok jej spoczywa na obłokach firmamentu.

Zbawienna myśl przyszła mi do głowy i zdecydowałem się przerwać milczenie niezwykle interesującą rozmową o pogodzie.

Po dobrej godzinie koleżanka uczuła się zmęczoną i wyraziła chęć udania się do domu, dokąd też udała się w licznem gronie kolegów i koleżanek, opuszczających zwykle o tej porze lód. Ja zostałem sam i odetchnąłem z ulgą, lecz, o dziwo, uczułem, że obok sportu może coś jeszcze istnieć na świecie.

Dni szybko mijały. Okres jeżący się od dwójek ne wywarł na mnie żadnego wrażenia. Żyłem tylko myślą wieczorów, spędzanych na lodzie. Zwolna zacząłem nabierać rutyny, rozmowa szła coraz lepiej...

Parę dni niewidzenia jej wystarczało, bym stracił apetyt, sen, a nawet chęć do życia. — O nauce nawet i mowy nie było.

Tak dożyłem do wiosny, lód prysnął a wraz z nim i moja idylla.

Byłem w rozpaczy; pójść, odwiedzić perłę moich marzeń (pod jakimśkolwiek pretekstem) nie miałem odwagi. Wreszcie te marzenia zaciążyły na mem sercu, jak brzemię Syzyfa, i postanowiłem zwierzyć się jednemu z moich kolegów. Kochany kolega w lot mnie zrozumiał, przejął się moją niedolą i obiecał pomóc.

Pamiętnego wieczoru, kiedy nawet niebo ze mną współczuło i wylewało strumienie łez, przyszedłem smutny i zrozpaczony do czytelni. Tam zastałem mego najserdeczniejszego powiernika, który zawzięcie konferował z trzema podobnymi zbirami. Po chwili jeden z nich, nachyliwszy się do mego ucha, szeptem oznajmił mi, że idziemy. Serce odrazu odczuło dokąd, lecz wrodzony strach przykuł mię do krzesła. Czterech drabów przemocą wyciągnęło mnie na ulicę. Tutaj dopiero zrozumia-

łem w całej pełni grozę mego położenia: iść nieprzygotowanym, bez żadnego z góry obmyślanego planu, bez żadnej mowy powitalnej, byłoby narażeniem się na śmieszność w jej oczach. To też stanowczo oznajmiłem, że dalej nie pójdę. Postanowienie moje było przyjęte ogólnym śmiechem i wbrew mym wysiłkom uczułem się niesionym w pozycji poziomej do nieba i ziemi za wszystkie cztery kończyny mego ciała. Syrena przejeżdżającego auta została zagłuszona mym rozpaczliwym wołaniem: — Nie pójdę! nie pójdę! nie pójdę! — Przechodnie, zwabieni widokiem tak niezwykłej translokacji, tamowali drogę. — Za nami postępował korespondent „Czarnego Kurjera", skrzętnie notując w swym notesie szczegóły nszego pochodu, które ukazały się na zajutrz pod tytułem „Panie Komisarzu! Ceny nie spadają, a młodzież się morduje!".

Na rogu ulicy Policyjnej i Zbójeckiej jakaś miłosierna kobieta w podeszłym wieku wzruszonym głosem spytała jednego z mych oprawców: — Czemu wyje ta biedna dziecina? — „Upadł i złamał nogę", brzmiała odpowiedź.

Kłamstwo było nader widoczne, to też niewiasta w swem szlachetnem oburzeniu rzuciła pod naszym adresem. „Miszugine Wojtki" i machnąwszy ręką udała się w kierunku straży ogniowej. A ja zrezygnowany, pełen jak najciemniejszych myśli, poddałem się losowi, gdy w tem orszak stanął i chóralnie „Dobry wieczór" obudziło mnie z zadumy.

Kiedy postać moja przyjęła zwykłe położenie, zdumionym mym oczom ukazała się: „Ona".

Tu wzruszenie nie dało dokończyć myśli kol. B. Jego tęskny wzrok zdawał się wybiegać poza obręby pokoju i biegł na skrzydłach myśli ku niej. My, szanując jego wzruszenie, w głębokiej ciszy gryźliśmy orzeszki, a kol. B., otrząsnąwszy się z zadumy i wypiwszy parę szklanek wody, mówił dalej:

— Tak! stała przede mną, jak jutrzenka, w całej pełni swej dziewiczej urody, której nawe zbliżający się koniec roku szkolnego nie zdołał przyćmić. A ja stałem w niemym podziwie, onieśmielony jej pięknością, nie mogąc przemówić ni słowa. Koledzy, dyskretnie cofnąwszy się wtył, pozostawili mię własnemu losowi. Ocknąwszy się z pierwszego wrażenia, i nie zdając sobie sprawy co czynię, jak obłąkany rzuciłem się do ucieczki w ciemną ulicę, lecz nie zdołałem przebiec i stu kroków, gdy zostałem znów pojmany i powtórnie przedstawiony przed jej oblicze.

Usilne prośby kolegów zdołały ją wreszcie rozchmurzyć, a nawet raczyła łaskawie pierwsza rozpocząć rozmowę. Wspomnienia z lodu i jej dobroć odemknęły mi wreszcie usta, zdołałem wykrztusić kilka słów powitania.

Nie wiem, jak długo i o czem mówiliśmy, wiem tylko, że ona była taka dobra, a ja taki szczęśliwy, jak nigdy. Wróciwszy do domu spędziłem noc całą bezsennie, a nazajutrz postanowiłem iść do niej z oficjalną wizytą.

Zabrałem się rzeźko do dzieła.

Spieniężyłem prawie wszystkie, jakie posiadałem, podręczniki, zastawiłem sportowe buty i krótkie spodeńki, a za otrzymaną kwotę zaopatrzyłem się w bilety wizytowe i bukiet prześlicznych kwiatów i wyruszyłem o zmierzchu.

Serce łomotało niespokojnie w piersiach, tętna rozsadzały skronie, kiedy pokręciłem rączkę dzwonka.

Pełen niepokoju, poprawiając co chwila muszkę, czekałem na otwarcie Sezamu. —

Mą niedolę podzielał skarłowaciały tygrys, pospolicie zwany kotem, siedzący na pobliskim parkanie i zawodzący trele na cześć Seleny.

Zniecierpliwiony zbyt długiem oczekiwaniem, począłem coraz energiczniej kołatać.

Wreszcie drzwi się otwarły i posłyszałem: „Panienki niema, ale zaraz przyjdzie".

Postanowiłem czekać.

Przechadzając się w cieniu przeciwległego domu, skąd można było obserwować całą ulicę, szukałem miejsca spoczynku dla mych nóg, strudzonych całodzienną bieganiną.

Opatrzność zesłała mi dość wysoką beczkę, napełnioną do połowy wodą, która onegdaj spadała z dachu.

Przy mojem wyrobieniu sportowem z łatwością dotarłem do szczytu i usadowiłem się na jej poszczerbionym brzegu z miną indyjskiego Buddy.

Nogi nie dosięgały ziemi, to też musiałem pilnie zważać na zachowanie tak niezbędnej w życiu równowagi. Wtem dały się słyszeć wesołe głosy. Poznałem jej rozbawiony sopranik i niski półbaryton kolegi Leńpolskiego. Nim zorjentowałem się w sytuacji, już było zapóźno. Wesoła para stanęła tuż koło mojej beczki, czule się żegnając, ku mej wielkiej zgrozie.

Poruszyć się, to zdradzić swoją obecność na beczce. Na samą myśl o tem zakryłem oczy i pochyliłem się więcej w tył. To było moją zgubą. Poczułem, że tracę równowagę. Po paru równie bezskutecznych, jak rozpaczliwych, machnięciach nogami zsunąłem się do wnętrza beczki w tak fatalny sposób, że nogi, ręce i głowa złączyły się a ciężar ciała poszedł na dno.

Nie słyszałem już ani krzyku przerażenia wystraszonej pary, ani nawoływań, zwabionych hałasem właścicieli mego przygodnego więzienia.

Nie wiedziałem nawet, że trzymam jescze w kurczowo zaciśniętej dłoni ów nieszczęśliwy bukiet.

Na szczęście wody było niewiele.

Przyniesiono światło i kumoszki zaczęły naradzać się krzykliwie, nad sposobem zbadania zawartości beczki.

Na szczęście jedyny przedstawiciel płci brzydkiej wywró

ceniem beczki położył kres bezskutecznym naradom.

Kiedy wypłynąłem na świat Boży, jak Jonasz z czeluści wieloryba, z niedostępnym bukietem w ręku, ujrzałem ją przestraszoną, a nawet zaciekawioną.

Widząc, że mi się nic złego nie stało, wybuchnęła długim, srebrzystym śmiechem, w czem zawzięcie zaczęły ją naśladowywać wszyscy zebrani, tworząc chór jakiegoby się nie powstydziło niejedno gjmnazjum.

Ja, zaś, nie tracąc ani chwili czasu, cisnąwszy bukiet, dałem nura i opamiętałem się dopiero w domu, gdzie złożyłem uroczystą przysięgę, zaniechania wszelkich stosunków z płcią piękną...

Od dawna hamowany homeryczny śmiech nie pozwolił kol. Bezwąsowiczowi dokończyć opowiadania, poczem, chcąc zrobić przyjemność naszemu bohaterowi, w triumfalnym pochodzie poprowadziliśmy go do cyrku na zapasy atletyczne, przedmiot kultu kol. Bezwąsowicza.

P. T.

Polowanie na wilki.

Był cudny wieczór sierpniowy. Księżyc już wzniósł się z poza lasu, rzucając blado-srebrne światło na ziemię. Wtem zdala hen! za sinym borem odezwało się przeciągłe a—uu—auu, przejmujące dreszczem. Siedzieliśmy na stopniach werendy.

— To wołk — odezwał się leśnik, który właśnie nadchodził — kab paniczy zachacieli, toby my paszli ich niemnoho papuhać...

Zdecydować się na taką wyprawę, było dziełem jednej minuty. Za chwilę wyruszyło nas trzech; Antek, mój kuzyn, ja i leśnik — każdy z nas miał przewieszoną przez ramię flintę, a ja w dodatku kieszeń pełną naboi.

Przyznam, że wyruszyłem z biciem serca.

Zbliżyliśmy się do lasu. Ach, to nie ten las pełen życia, świergotu ptaków. O nie!

To bór cicho szumiący i tajemniczo. Szliśmy drogą zalaną blado-srebrnem światłem księżyca.

Drzewa po obu stronach drogi wydawały się pogrążone w bezżyciu, lecz las szumiał, szumiał, szeleszcząc dziwnie nieprzyjemnie. Tak doszliśmy do rzeczki.

— Siudoj wołki prachodiat — wymówił leśnik szeptem.

Wycia tymczasem umilkły, zrobiło się raźniej na duszy. Leśnik nas zatrzymał i każdemu wyznaczył stanowisko.

Po chwili byłem sam, sam jeden wśród puszczy w nocy. Brr... jak nieprzyjemnie! Wspinałem się pod górę, gdzie miałem się zatrzymać.

W wąwozie szumiał strumyk pogrążony w oparach. Drzewa i krzewy zroszone, lśniły się srebrem, gwarząc zlekka. Przedzieram się przez gąszcz. Wychodzę na polanę, tonącą w powodzi srebra. Och, to światło, światło było tak czarujące i tajemnicze.

Mimowoli podnoszę oczy na księżyc: taki sam, wiecznie tajemniczy, smutny, srebrzysty...

Posłyszałem jakiś szelest. Gdzieś na skraju mignął cień. Oczekiwanie...

Ukazał się znowu, ale już bliżej.

Tak to bezwątpienia wilk. Przystanął. Przyglądam się. Cały szary, o ile mogłem zauważyć, tylko oczy świecą, złowrogim blaskiem fosforycznym.

— Strzelać czy nie strzelać — dręczy mię pytanie. Mierzę wzrokiem odległość: sto kroków najwyżej. Decyduję się. Celuję pod łopatkę. Czuję bicie własnego serca. Pociągam za cyngle. Padają dwa strzały, obijając się przeciągłem echem w dal. W szalonem podnieceniu nabijam fuzję i biegnę. W wyobraźni przedstawiam sobie leżące w posoce cielsko wilka. Dobiegam. Niema... Wszak celowałem dobrze...

— Bach, babach — rozlega się. Biegnę na strzały. Zapominając o wszystkiem krzyczę: „Jest? Jest?..."

— Niema — odzywa się leśnik — Panicz jego nawierno ranił, tak on i kinułsia w hałop.

Zostałem tą odpowiedzią zaskoczony.

— Dlaczego nie padł? — dręczyło mię pytanie — wszak strzelałem dobrze.

Tak medytując, przypomniałem sobie wycieczkę o świcie na jarząbki.

Ba! Widocznie-m zostawił w lufie naboje na jarząbki!

Ładna historja. — Śrutem na jarząbki chciałem zabić wilka! — To dopiero ze mnie myśliwy!

Byłem strasznie zły i zawstydzony, złorzeczyłem całemu światu. Widocznie fatum mię jakieś prześladuje. Uszedł po strzale mój pierwszy zając, uszedł i pierwszy wilk...

Tak uszedł, pomyślałem sobie, lecz wrażeń w tym dniu przeżytych nigdy nie zapomnę.

— — — — — — — — — — — — — —

Powoli powracaliśmy tą samą drogą, koło strumienia, który szemrał cicho, pogrążony w mgłach nocy letniej.

Wł. Śmieciuszewski.

Popierajcie „Głos Uczniowski"!

Echa wieczorku.

Trochę śniegu. trochę błota —
—Wogóle na dworze słota —
Aż tu znowu: cóż u czarta?.
Jedna, druga, trzecia, czwarta
Brną po błocie i po słocie
Jakieś widma, czy postacie...?
Ach! to nasze gimnazistki,
Pierwsze tańca specjalistki,
Śpieszą do gimnazjum swego,
Aby stamtąd do męskiego
Iść na tańce oficjalnie,
Urządzone im specjalnie.
Ustawiają się po parze,
Bo tak regulamin każe.
Przeliczone i zmoczone
A potro hu i zmęczone
Wreczcie wchodzą do budynku.
By tam tańczyć bez spoczynku
Cztery godzin, bo od piątej
Aż wieczorem do dziewiątej.
Wchodzą, patrzą: cóż u licha?
Tylko jakiś młodzian kicha,
A poza nim nic, nikogo!!!...
...Goście sami chodzić mogą,
Mogą ziewać, krzyczeć, skakać,
Mogą nawet sobie płakać,
Bo młodzieńcy nie raczyli,
Chociaż sami z prosili
Na wieczorek koleżanki,
Przyjść zabawić jejmościanki...
...Przyszli o godzinę później,
Aby trochę było luźniej...
Wreszcie jednak ktoś się zjawia
— „Wodzirej": o sobie mawia, —
Daje słyszeć się wołanie:
„Panowie niech proszą panie:
Polonez, a proszę chybko,
Bo czas mija bardzo szybko!".
Już muzyka brzmi nam dziarska...
Wnet się chłopców zbiera garstka,
Prowadzą z sobą narady,
Słychać szept tłumionej zwady...,
— — — — — — —

Tymczasem polonez minął
I w powietrzu się rozpłynął!

Wtedy grubo znów zakrzyczy
Ten, co się za wodza liczy:
„Do bostona prosić panie!".
I zaczyna się suwanie
Bostonowe po podłodze —
—Czasem ktoś depnie po nodze —
I tak sobie w takt bostona
Idą dwoje: on i ona.
— — — — — — —

Niby grzmot drze nieba lazur,
Tak nam huknął dziarski mazur,
I ruszają gimnaziści,
Znami w szkole mazurzyści.
A to dziarskie są chłopaki! —
I czerwone, niby raki,
Czasem któryś tupnie nogą,
Aż kurz wzleci nad podłogą
Jęczą ściany, drżą podłogi,
Huczą głosy: z drogi! z drogi!
Lecz, co sztuką jest nielada
I nie każdy też nią włada,
A którą nam pokazano,
To klęknięcie na kolano!
— — — — — — —

I mazura zakończono,
Przyczem srodze się zmęczono.
— — — — — — —

Dalej idą wszystkie tany,
Aż człek wreszcie, potem zlany,
Słyszy nakaz wołający
Do powrotu i — marsz grzmiący.
— — — — — — —

Taki był koniec wieczorku.
— — — — — — —

A pisała to autorka.
Lecz na końcu mego wiersza,
Chociaż może jestem pierwsza,
Co tę sprawę tak rozważam,
Przestrogę się też odważam
Dać dla panów gospodarzy.
Gdy sposobność się nadarzy,
Niechaj każdy z nich pamięta:
„Że gościnność to rzecz święta,
Że nie godzi się tak zwlekać.
Aby goscie mieli czekać,
Aż przypomną jegomoście,
Że już dawno przyszli goście".

Błysk.

Z teatru.

„Bolszewicy" W. Sieroszewskiego.

(przedstawienie dla młodzieży)

3-go i 4-go listopada b.r., przez dwa dni z rzędu, bawił w Białymstoku „Teatr Objazdowy" pod dyrekcją p. Donata Krężela.

Reżyserował p. Władysław Lenczewski.

W rolach głównych występowali: pp. Helena Bożewska i Bay-Rydzewski.

Doskonały ten teatr, najsłuszniej popierany i subsydjowany przez Departament Kultury i Sztuki, był tą gwiazdą, która, jak ongiś „Reduta", zabłysła niespodzianie na horyzoncie scenicznym Białegostoku.

Na tle doskonale zgranego zespołu, jak świetnie oprawne kamienie, jaśniały talenty pp. Bożewskiej, Lenczewskiego i Bay-Rydzewskiego.

Niezrównana wprost była p. Bożewska w roli Soni, a to wskutek znakomitego opanonowania poszczególnych sytuacyj i dokładnego wyczucia tendencji autora.

Z niemniejszą satysfakcją patrzyło się na klasyczyną grę wykonawców ról Sypniewskiego, Sarnowskiego — Grosberga i Razina.

Razin zastanawiał może zbytnim jak na Komisarza „Komnarahozu" i członka „Sownarkomu" idealizmem, ale dotyczy to raczej utworu, niż artysty — zato szeroka dusza rosyjska wystąpiła w nim w całej pełni.

Ogółem biorąc, sztuka nie chybiła celu.

Ponad oniemiałą ze wzruszenia widownią przelatywał chwilami duch wcielonej rzeczywistości z przed czterech niespełna lat, tamując oddech w piersiach widzów.

A byli to sami młodzi!

Jak też gorąco oklaskiwano polskiego żołnierzyka, co to mu kiszki „Ojczystego" marsza grały w pogoni za zmykającymi „towarzyszami"!

Dowodziło to, że „Bolszewicy" dotychczas nic a nic ze swej aktualności nie straciły; owszem, dzisiaj, w okresie wzmożonej propagandy haseł komunistcznych, na które rozmaicie młodzież zareagować może, w sam raz przypada pokaz prawdziwego oblicza „światowo komunizma".

Szczególnie młodzież ucząca się, jako przyszła inteligencja polska, winna dbać o prostolijność i prawożądność swych zapatrywań, aby na przyszłość lada Sypniewski nie mógł rzucić pod jej adresem, że jest „bez haseł i charakteru".

T. D.

Młoda prasa.

Te pierwsze notatki wskutek szczupłości posiadanego przez nas materjału dalekie będą od ideału zobrazowania całokształtu młodego pismiennictwa. Skoro jednak ustalą się stosunki wymiany pomiędzy naszem wydawnictwem a innemi pismami młodzieży, dołożymy starań, by się jak najbardziej do tego ideału zbliżyć.

Dziś korzystajmy z tego, co nam los zechciał łaskawie podać w ręce.

Miłą niespodziankę sprawia nam „Nasze Życie", organ Samopomocy uczniowskich i drużyn harcerskich w Miechowie (Rok V. № 1. Listopad). Napastowało ono w swoim czasie nasz skromny „Głos Uczniowski" iż „urządza propagandę za gazem trującym" (cytuję „Nasze Życie"), co wedle niego nie powinno być celem pisma młodzieży. Dziś „Nasze Życie" ze zmianą redaktora zmieniło i swój pogląd na tę sprawę. Bo oto czytamy tam takie wołanie: „Wstępujcie w szeregi Ligi Obrony Powietrznej Państwa..." Sądzimy, iż nie trzeba tu komentarzy, w jakim kierunku dokonał się zwrot w ideologji „Naszego Życia". Natomiast zgodnie z tradycją dalej uprawia to pismo jałową frazeologję na temat: „Wieś a my", „Co dla wsi", „Harcerstwo a wieś" i t. p. Dlaczego mówimy: jałową frazeologję? Bo oto na pytanie, zadane sobie w przystępie wyrzutów sumienia: „Czy wygłaszane tematy, jak „Wieś a my", „Co dla wsi", Harcerstwo a wieś" wprowadziliśmy w czyn?"" p. J. Uchto odpowiada, że: „nie, absolutnie nie!" Tyle o „Naszem Życiu" i jego ideach.

„Echo Szkolne" (Dwutygodnik młodzieży szkolnej. Siedlce. Rok I. Nr. 2. Październik) poświęca swój, z kilku zdań składający się artykulik wstępny „Wodzowi polskich dusz..." (Łatwo się domyślisz, czytelniku, o kim mowa!) Tak brzmi tytuł artykułu, lecz miast wyrazów hołdu, jakich należałoby się spodziewać po tak zatytułowanym artykule, znajdujemy treść na temat: Znaczenie dzieł H. Sienkiewicza. Po trzech (nielicząc feljetonu p.t. „Czwórka elegantów", w którem p. Satyr uskarża się na lekceważenie sobie „Echa Szkolnego" przez ową „czwórkę") niekrótszych artykułach, zajmujących razem około czterech stron, następują kronika, informacje, zawiadomienia, ogłoszenia i t.p., co razem zajmuje tylko około 14 stronic. Kronika — zapewne dla młodzieży siedleckiej bardzo ciekawa, tak, że tylko „Czwórka elegantów" może powiedzieć o „Echu Szkolnem": to „takie głupstwa".

Kiedy „Echo Szkolne" nie zdobyło się na napisanie o ś. p. Sienkiewiczu nawet jednej stronicy, młodzież Tomaszowa Lubelskiego poświęca „natchnionemu nauczycielowi Narodu" cały zeszyt swego dwutygodnika „Nasza Praca" (Rok

IV. Nr. 4. Październik). Znać w „Naszej Pracy" pracę systematyczną i solidną, a co jest zjawiskiem bodaj czy nie fenomenalnem wśród pism młodzieży gimnazjalnej, — wychodzi ono regularnie co dwa tygodnie.

Młodzież Państwowego gimnazjum im. ks. A. Czartoryskiego w Puławach też nie omieszkała przypomnieć w swej „Pracy " (Rok I. Nr. 6. Październik). „Czem jest dla nas Sienkiewicz". Wnet jednak przechodzi nad tem do porządku dziennego i mówi o „Ogrodzie Puławskim". Zaczem „kracze beznadziejnie" ua temat „Jesień już...", tworząc w ten sposób wdzięczną przeplatankę.

Natomiast łomżyńskie „Czuwaj" ani słowa nie mówi o Sienkiewiczu. Czyżby do duszy łomżyńskich harcerzy nie przemówiły nawet przygody Stasia i Nelly „W pustyni i w puszczy"?

„Głos Harcerza" z Kalisza (Rok I. Nr. 1. Listopad) pisze „Dlaczego naród czci Sienkiewicza i prochy jego składa w katedrze „warszawskiej". I woła gromko: „Czuwajmy", by przyszłość nie zastała nas nieprzygotowanymi do możliwych napadów licznych wrogów.

„Czuj Duch" w październikowym numerze też składa hołd „Prochom Henryka Sienkiewicza". Jeśli chodzi o pisma harcerskie to należy przyznać „Czuj Duchowi" jedno z pierwszych wśród nich miejsc, obok lwowskiego „Skauta" (Pomijając wydawnictwo „Harcmistrz i Wiadomości Urzędowe" przeznaczone dla starszej społeczności harcerskiej w szczególności instruktorom), którego ostatnich numerów zresztą narazie nie posiadamy.

Rene.

Kronika.

Z Gimnazjum Żeńskiego.

Koncert. Dn. 12.X. b. r. staraniem Pani Przełożonej odbył się w sali gimnazjalnej koncert z łaskawym udziałem p. St. Kuczkowskiej (sopran koloraturowy), p. Cumftowej-Makarskiej (gra na fortepjanie), p. St. Krzanowskiego gra na skrzypcach) oraz chóru gimnazjalnego pod kierownictwem p. prof. St. Sobierajskiego. Wieczór zaszczycił swą obecnością wiceminister oświaty p. Tadeusz Łopuszański, przebywający w Białymstoku na wizytacji Okręgu Szkolnego Białostockiego p. Kurator O. S. B. oraz naczelnicy wydziału wraz z wizytatorami. Dochod z koncertu został przeznaczony na „Bratnią Pomoc".

Wieczorki. Dn. 8.XI. b. r. odbył się wieczorek taneczny, dlą uczenic klas starszych, od kl. IV włącznie, a dn. 15.XI. podobny wieczorek — dla uczenic klas młodszych, poprzedzony produkcjami scenicznemi. Na obu wieczorkach przygrywała orkiestra wojskowa. Dochód przeznaczono na pomoce naukowe i wydatki rzeczowe Gimnazjum.

Otwarcie „Świetlicy". Dn. 19.X. b. r. odbyło się otwarcie „Świetlicy" uczniowskiej. Po przemówieniu Pani Przełożonej, która złożyła życzenia pomyślnego rozwoju powołanej do życia placówce, słowo o znaczeniu „Świetlicy" w życiu szkoły wygłosił p. prof. Cz. Pietrasz, poczem prezeska „Bratniej Pomocy" kol. Szyszkówna (VII kl.) zobrazowała pokrótce działalność i omówiła potrzeby reprezentowanej instytucji młodzieży. Na zakończenie aktu odśpiewano „Rotę".

Wizytacja. Dn. 21.X. r. b. odbyła się wizytacja gimnazjum, dokonana przez przedstawicieli ministerstwa W. R. i O. P. w osobach p. dr. B. Nawroczyńskiego i p. prof. Czerwińskiego w asystencji p. p. wizytatorów St. Wasilewskiego i Wajdowicza.

Uroczystość sprowadzenia zwłok Henryka Sienkiewicza. Dn. 25.X. r. b. w związku z uroczystością ogólnopolską sprowadzenia zwłok wielkiego pisarza do kraju, delegatki klas starszych wzięły udział w żałobnem nabożeństwie za duszę ś. p. H. Sienkiewicza, które się odbyło w miejscowym kościele parafjalnym.

Tegoż dnia w gimnazjum na 6-ej lekcji wobec zebranych na sali uczenic klas starszych od kl. IV-tej włącznie p. prof. Cz. Pietrasz omówił życie i zasługi Henryka Sienkiewicza, a p. p. prof. A. Grefnerowa i M. Bielska miały pogadanki na tenże temat z uczenicami klas młodszych.

Dn. 26.X. r. b. gimnazjum było obecne na mszy polowej i wzięło udział w uroczystościach na mieście.

Referat. Dn. 23-XI b. r. w związku z 100-letnią rocznicą wywiezienia A. Mickiewicza do Rosji kol. J. Dynowska (ucz. klasy VII) wygłosiła w „Świetlicy" referat na temat: „Towarzystwo Filomatów i Towarzystwo Filaretów oraz udział w nich i rola Adama Mickiewicza". Słowo wstępne wypowiedziała kol. L. Szyszkówna (ucz. kl. VII), kol. Z. Rutkowska (ucz. kl. VII) deklamowała „Odę do młodości".

Z Gimnazjum Męskiego.

Z życia organizacji „Samopomocy Uczniowskiej" Gimn. Męskiego. Dn. 5-XI 24 r. w „Świetlicy" odbyło IV doroczne zebranie członków S. U., na którem prezes kol. Dzieszko Wacław dał obszerne sprawozdanie z działalności Zarządu za rok ubiegły, poczem przystąpiono do wyborów nowego zarządu.

W skład którego weszli koledzy:

Kuczyński Mieczysław (prezes), Ellert Kazimierz (wiceprezes), Kryński Marjan (skarbnik) Kitlas Stanisław (sekretarz) oraz Soboniak Stefan (referent oświatowy).

Do komisji rewizyjnej weszli koledzy: Nowicki Wła-

dysław, Rutkowski Roman, Zatorski Stanisław.

Do Sądu koleżeńskiego koledzy: Puchalski Ryszard, Litwinowicz Wacław, Dzieszko Wacław, Tarasiewicz Czesław, Kłosowski Józef, Malinowski Mieczysław.

Dn. 18-X. 24 r. odbył się wieczór na rzecz L.O.P.P. urządzony staraniem „Samopomocy Uczniowskiej". Na program wieczoru złożyły się: odczyt p. prof. J. Rolińskiego „O lotnictwie" połączony z pokazem przezroczy, produkcje orkiestry ucznowskiej pod kierunkiem kol. Barwińskiego, gra na skrzypcach p. prof. St. Krzanowskiego przy akompanjamencie p. prof. Sobierajskiego. Wieczór został zakończony„ Rotą" odegraną przez orkiestrę szkolną. Dochód z wieczoru w sumie 114 zł. został przekazany miejscowemu komitetowi L. O.P.P.

Hufiec Szkolny. W bieżącym roku szkolnym na terenie gimnazjum powstała nowa organizacja, mająca na celu przysposobienie młodzieży do późniejszej służby w szeregach naszego wojska oraz jej rozwój fizyczny. Organizacją tą jest Hufiec Szkolny prowadzony przez p. prof. Kittę oraz instruktora wojskowego por. Hrycka. Członkami może być młodzież w wieku od lat 16.

Odczyt. Dn. 15-IX 24 r. w „Świetlicy" kol. Ryszard Wroczyński ucz. kl. V wygłosił odczyt na temat: „Powstanie Listopadowe".

Wieczorek taneczny. Dnia 22 list. odbył się wieczorek taneczny, na który przybyła licznie starsza młodzież obu gimnazjów.

Uroczystość Patrona Sodalicji Marjańskiej. W dniu 16 XI. b. r. Związek Sodalicji Marjańskiej obchodził uroczyście dzień swego Patrona św. Stanisława Kostki. Dnia tego odbyło się uroczyste nabożeństwo w Kaplicy Szkolnej, celebrowane przez ks. dziekana Al. Chodykę. Słowo boże wygłosił dyr. ks. dr. St. Hałko. W czasie nabożeństwa p. prof. Krzanowski wykonał na skrzypcach kilka utworów muzycznych przy akompanjamencie p. prof. Sobierajskiego (fisharmonja).

Śniadania. Dzięki staraniom Tow. Przyjaciół Gim. został urządzony bufet z gorącemi śniadaniami, w czasie dużej przerwy. Ceny są tak przystępne, że bardzo szeroki ogół młodzieży korzysta z tego udogodnienia.

Odpowiedzi redakcji.

Kol. Baj-Baju. Artykułu p. t. „Zagłoba w raju" drukować nie będziemy. Zachęcamy do dalszych prób.

Kol. Tad. Wiersza p. t. „Wieczorem" drukować nie będziemy.

Życzącym na spłaty.

Manufakturę, obuwie, bieliznę, galanterję, kołdry watowe, koce, łóżka żelazne, meble stylowe, dywany, meble gięte Thoneta, otomany, materace, naczynia kuchenne, porcelanę

POLECA

DOM HANDLOWY

Bronisław

PERŁOWSKI

BIAŁYSTOK,

Lipowa 6, telef. 70. I. piętro.

W dniu 6 i 7 grudnia r. b.

w Państwowem Gimnazjum Męskiem

im. kr. Zygmunta Augusta w Białymstoku

ODBĘDZIE SIĘ:

Obchód Powstania Listopadowego

i

10-ej Rocznicy Założenia Gimnazjum.

Na program złożą się:

Referat, odegranie 1-dnoaktówki: „Noc Belwederska", dział koncertowy przy łaskawym współudziale p.p. prof. Baruckiego, Krzanowskiego i Sobierajskiego.

Początek: 6 XII. o godz. 5 p.p.
7.XII. „ „ 6 p.p.

Książki obrazkowe, statuetki biurkowe i zabawki Gnoma

poleca na gwiazdkę

KSIĘGARNIA

A. Brzostowskiego

Białystok, Rynek Kościuszki 7.

Ceny ogłoszeń: cała strona 40 złotych, pół strony 20 zł., 1/4 strony 10 zł; przed tekstem o 10 proc. drożej.

Redaktor **Piotr Wasilewski.** Administrator **Wacław Wilczewski.**
Wydawca: „Bratnia Pomoc" Państw. Gimn. Żeńsk. im. Anny z Sapiehów Jabłonowskiej i „Samopomoc Uczniowska" Państw. Gimnazjum Męsk. im kr. Zygmunta Augusta w Białymstoku.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc. ul. Warszawska 61.